

W ciemno za Wielką Wodę. Z kart historii Śląska Cieszyńskiego

Data publikacji: 17.01.2022 14:28

Z perspektywy dzisiejszych czasów szalonym wydaje się pomysł podróży na drugi koniec świata z powodu zaproszenia otrzymanego od kompletnie obcego człowieka. Gdy jednak weźmie się pod uwagę rok podróży pewnego cieszyńskiego pastora ewangelickiego do Stanów Zjednoczonych - 1893 - to okazuje się, że nic w tym dziwnego nie ma.

Po lewej: Jan Pindór, Jan Pindór, ze zbiorów Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków w RC. Po prawej: litograf przedstawiający Nowy York z 1874 roku, źródło: wikimedia.org

- **Pewnego dnia otrzymałem list od Pana Torrey, naczelnika szkoły teologicznej w Chicago (czytaj Szikago), czybym nie mógł przybyć na kilka tygodni do Chicago na wystawę dla pracy misyjnej wśród tamtejszej kolonii Polaków. Osobiście ani ja Pana Torrey nie znałem, ani on mnie; wiedzieliśmy o sobie tylko przez gazety. Wskutek podróży mojej do Anglii napisała angielska religijna gazeta "The Christian" sympatyczny artykuł o duchownej pracy wśród ewangelików polskiej mowy na Śląsku austriackim; przytem mój portret podała, a kilka miesięcy przedtem był w tej samej gazecie opis pana Torrey i pracy jego w Chicago. Ztąd nasza wzajemna o sobie wiadomość [pisownia oryginalna - dop. red.] - pisze we "Wspomnieniach z podróży do Ameryki" Jan Pindór, pastor i teolog ewangelicko-augsburski urodzony w Lesznej Górnej w 1852 roku.**

Podróż duchownego odbywała się etapami - z Cieszyna do Hamburga, potem do Bremy i Bremerhaven, skąd ruszał okręt do angielskiego Southampton. - **Na pokładzie okrętu roilo się jak w ulu; było coś koło 1500 podróżnych, po największej części wychodźców, mężczyzn, kobiet, dzieci. Mężczyźni ustawiali swoje rupiecie, o ile takowe już w wnętrzu okrętu nie były umieszczone, kobiety płakały, spoglądając na ziemię europejską, z którą się po największej części żegnały na zawsze; dzieci czepiając się sukni rodziców piszczały z przestachu, słowem był zgiełk i pisk aż nieprzyjemnie patrzeć i słuchać. Ten zamęt trwał przeszło dwie godziny, nim wszyscy podróżni znaleźli swe miejsce. Potem nastąpił porządek i spokój** - wspominał.

Po kilkudniowym pobycie w Londynie, pastor znów udał się do portowego Southampton, skąd wyruszył w trwający tydzień rejs przez Atlantyk. 3 maja jego podróż dobiegła końca. - **Widziałem niejedno wielkie miasto, lecz z tych wszystkich, które widziałem, jest Nowy York najpiękniejszym; w ogóle nie wiem, czy które inne miasto w świecie może się co do piękności położenia, otoczenia, budowy, czystości i porządków równać z Nowym Yorkiem. Ulice wszystkich amerykańskich miast idą jedne wzdłuż a drugie w szerz miasta; pierwsze nazywają się alejami (avenue), drugie drogami; każda z nich ma swoją imię lub najczęściej tylko swój numer. Wszystkie są ogromnej długości, bo idą od jednego końca miasta aż na drugi** - nie krył zachwytów nad metropolią cieszyński działacz ewangelicki.

Celem wyprawy nie był jednak Nowy Jork, a Chicago, gdzie odbywała się cykliczna Wystawa Światowa - dziś znana pod nazwą EXPO - o którą z sukcesem ubiegała się właśnie współczesna stolica stanu Illinois. Jak wyjaśnia Pindór, impreza uświetnić 400. rocznicę odkrycia Ameryki. - **Podczas wystawy przemieniono pewną część budynku szkolnego na mieszkania dla zaproszonych pastorów, którzy w religijnej pracy mieli brać udział. Byli tam rozmaici kaznodzieje, profesorowie, śpiewacy i śpiewaczki, prawie wyłącznie Anglicy i Amerykanie. Każdy zabawił krócej lub dłużej, a znów innemu ustępował miejsca. Przez całe lato tylko ich kilku zostawało. Podczas mojego pobytu byłem tam jedyny obcy; wszyscy inni byli angielskiego pochodzenia, rozumieli tylko po angielsku. Nie mogłem się więc w domu rozmówić inaczej jak po amerykańsku, co miało swoje trudności, lecz nie mało wpłynęło na uzyskanie wprawy w tym języku** - zaznacza.

W swojej książce ([która dostępna jest cyfrowo tutaj](#)) Pindór pisze o różnicach między podejściem do religii w Stanach Zjednoczonych i Europie, opisuje różne zwyczaje i nabożeństwa. Co ważne, duchownemu powierzono tam też pewną misję ewangelizacyjną. - **Jest smutną to powiedzieć, ale jednak rzecz ma się tak, pomiędzy wszystkimi wychodźcami do Ameryki są co do nauki i oświecenia Polacy bardzo zaniedbani, bo nawet między Słowakami jest więcej ludzi otartych w świecie. Znajdują się między Polakami chlubne wyjątki, a sporą liczbę bardzo zacnych i oświeconych ludzi znalazłem w Chicago, lecz stosunkowo procent takich jest bardzo niski. Moim zadaniem było poczynić kroki, aby jaką misją między tamtejszą polską ludnością zagaić. Zadanie zaprawdę nie łatwe do spełnienia, i kto wie, czybym się był odważył pojechać do Chicago, gdybym był o prawdziwym stanie rzeczy wiedział!** - podkreśla.

Na zakończenie ponad 140-stronicowej publikacji duchowny krótko podsumował całą wyprawę [pisownia oryginalna]. - **Czy moja praca w Ameryce jakie owoce wydała, nie do mnie należy ocenić. Odzywają się ztąd pojedyncze głosy o książki religijne w polskim języku. Ile zaś ja sam osobiście z tej wycieczki umysłowo korzystałem, a to korzystałem tak dla siebie jak dla siebie w winnicy Chrystusowej, sam to najlepiej z wielką wdzięcznością odczuwam. Cała ta wyprawa wydaje mi się dziś, jakby to sen był a nie rzeczywistość.**